

NIEOSIĄGALNY LONDYN

„Wszyscy na pokład!” – kapitańskie wezwanie tuż przed północą, przerywa błogi sen. Na wiatromierzu ponad 50w, a w powietrzu pełno rozpylonej przez wiatr słonej wody. Tak wita nas Bałtyk w pierwszej noc wrześniowego rejsu do Londynu. Chyba nie ma żartów...

Patrycja Kwas, Bartosz Obracaj
jacarbo@wp.pl

W dzień nic nie zapowiada „mocnych” wydarzeń. Od samego Świnoujścia z braku wiatru, kołysani martwą falą, płyniemy na silniku. Bardzo ciepło, więc wszyscy oddają się lenistwu. Maćkowi udaje się złapać na wędkę przedziwną rybę, jakby miniaturę słynnego marlina z powieści Hemingwaya. – Jak na Karaibach! – żartujemy.

W nocy zbliżamy się do Arkon i wkrótce wiemy, że zamiast wesolej żeglugi dostanie nam się tęgie lanie. W ciągu kilkunastu minut wiatr tężeje do siły

sztormu. Jednocześnie błyskawicznie zmienia kierunek o 180°, siejąc spustoszenie w osprzęcie. Nie, to nie Karaiby, chyba że w sezonie huraganów. Nasz jacht, – *BARLOVENTO II*, stary kecz typu Rygiel, 16 m długości – wprawdzie bardzo dzielny, nie jest w stanie płynąć ostro. Teraz przy zachodnim, sztormowym wietrze odrzuca nas z powrotem do punktu wyjścia. Nikt nie ma ochoty na rozmowy.

Nad ranem morze wreszcie uspokaja się. Tylko leniwe podmuchy, znowu możemy obrać właściwy kurs. – Na Skagerraku podobno 9° B – informuje spokojnie Jurek, nasz kapitan. Niewiarogodne. Kilkadziesiąt mil od nas morze wypruwa sobie flaki, a tutaj spokój i cisza. Za dziesięć minut koniec wachty. Przysypiam przy sterze, czekając na zmianę. Nie tak szybko. Na zachodzie jakoś podejrzanie ciemno. Profilaktycznie idziemy jedynie pod małym fokiem, który coraz szybciej wypełnia się wiatrem. Gdy dociera do nas czoło chmury, na wiatromierzu ponad 50w i tak już zostaje. Znowu trudno oddychać pod wiatr...

Po raz pierwszy zdajemy sobie sprawę, że przy tej sile wiatru z zachodu nie uda nam się przedrzeć do Kilonii, nie mówiąc o osiągnięciu w zamierzonym

terminie Londynu. No cóż, mówią, że wrzesień to już nie przelewki. Ale w końcu musi osłabnąć. Rzeczywiście, słabnie i odkręca na SW. Żmudnie idziemy jak najostrzej się da. Po lewej powoli znika we mgłę Arkona. Teraz już chyba puści?

W nocy jednak znowu źle. Nie jesteśmy w stanie iść w pożądanym kierunku pod sztormowy wiatr, który po raz kolejny odkręcił. Jurek zarządza odwrót. Spychani coraz bardziej na wschód, decydujemy się na wejście do Ystad.

Całą noc w towarzystwie rozbieganych fal, szturmujemy w stronę Szwecji. Na prędkość wiatru nikt już nie zwraca uwagi. Nie jest nam jednak dane wejść do tego portu. Nikt z nas wcześniej w nim nie był, a z polskiego promu informują o potężnym falowaniu na wejściu. Czas na niepopularne decyzje. – Nie wchodzimy! Przy tym kierunku wiatru najlepsze będzie Sassnitz.



Morze Północne

A było już tak blisko lądu. Jakoś nikt nie chce się uśmiechać... Po raz kolejny trawersujemy zachodni Bałtyk, a ten złośliwie robi popisy, na co go stać – raz po raz potężne fale na pokładzie. Przynajmniej jest materiał na ciekawe zdjęcia. Na drugi dzień cumujemy w spokojnym porcie. Bilans trzech dób żeglugi: 300 Mm pod żaglami i 40 w linii prostej od Świnoujścia. Śmiać się czy płakać?!

Chwile spędzone na klifach Sassnitz to jedne z tych, które zapadają w pamięć. Szczególny nastrój. I jak go nazwać, chyba „szczęśliwość”? Przeklinamy sztorm, a to dzięki nim to wszystko...

Rejs kontrastów. Od opuszczenia Sassnitz bez emocji i nadmiaru wrażeń osiągamy Kilonię. Czyżby Neptun odpuścił? Jurek tylko się uśmiecha. Dwa dni później jesteśmy już w Cuxhaven. Może jednak zobaczymy Big Bena albo przynajmniej starczy czasu na powrót przez Cieśniny? Zobaczmy, na razie z prądem na Helgoland i do Amsterdamu.


Na Helgolandzie pierwsze ostrzeżenie. W prognozach mówią o dziewiątce w rejonie Texel i Kanalu Angielskiego. Czekamy. Opuścza dopiero za dwa dni. Opuścza wyspę i na szczęście z wiatrem, szybko gnamy na zachód. Nad ranem drugiego dnia powinniśmy wchodzić do Ijmuiden.

Ale nie, to byłoby zbyt pięknie! Coraz bardziej rozdmuchuje się i odkręca na NW. Jurek trochę obawia się wejścia z rozbudowaną już falą w główki portu. Wahamy się. Prognoza wybawia nas z kłopotu. Na najbliższe 12 godzin 8 – 9° B. – Jurek, teraz albo w rejsie za rok!

Kilka godzin później bezpiecznie cumujemy w porcie. Zatrzymując się w Amsterdamie mamy jeszcze nadzieję na skok do Dover lub powrót do kraju trasą przez Kattegat. Sztorm, który „wymusił” naszą decyzję, pozbawia nas tych złudzeń. Stoimy uwięzieni przez pięć dni wiedząc, że wyjście w taką pogodę byłoby szaleństwem. Dobrze, że Amsterdam to niezwykle miasto.

Jedenastego września prognozy dają cię nadziei, już nie na Londyn, ale na powrót do domu. Przepływamy do Ijmuiden. Chwilę po zaciemnowaniu pierwsze telefony z Polski. Tragedia w NY. Tego wieczoru natura jakby na przekór wszystkim złym wieściom daje niezwykle przedstawienie. Skotlowane, sztormowe niebo wypuszczające pojedyncze promienie słońca i olbrzymie fale rozbijające się o falochron. Idziemy wzdłuż niego. Z jednej strony wściekle morze, z drugiej spokój i cisza. Wracamy ze śmiechem zupełnie mokrzy, nie myśląc, jak dziwny jest świat, który sobie stworzyliśmy.

Cztery dni później z powrotem w Polsce. Przed oddaniem cum wypiliśmy toast za zdrowie Neptuna, więc pewnie dlatego dal nam wreszcie spokój.

Nie dopłynęliśmy do Londynu, ale zostały w pamięci niezwykle obrazy: potężne fale, klify Sassnitz, sól na zmęczonych twarzach i radość po powrocie. Warto pływać jesienią po morzu... 

fol. autorzy



Klify Helgolandu



Walczymy. Kapitan Sroka za sterem